

Krzysztof Socha

Jak smakowało moje Darłowo?

Pewnie nigdy nie zastanawiałem się głębiej - bo też i nie było ku temu jakichś szczególnych powodów by się nad tym zastanawiać - jak smakuje, czy może częściej, jak kiedyś smakowało Darłowo?

Z tego swoistego stanu braku refleksji wyrwał mnie dopiero SMS z zaproszeniem na spotkanie w „Poczekalni kultury” (w dawnym budynku darłowskiego dworca kolejowego) od pani Joanny Witkowskiej m.in. szefowej naszej darłowskiej Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Agnieszki Osieckiej. A swoją drogą (to takie bardzo współczesne pytanie, niejako na marginesie); Jak myśmy kiedyś żyli bez telefonów komórkowych, SMS-ów, MMS-ów, laptopów oraz bez Internetu?

Pierwszą pośród myśli była ta, że Darłowo bez wątpienia i z powodów naturalnych smakuje rybą, tak jak las w podobnie oczywisty sposób smakuje grzybami i żywicą, a polskie góry oscypkami z owczego mleka. Tyle, że tak oczywista prawda w swojej oczywistości nie jest wcale pełna. W naszym mieście ryby rzeczywiście były i są ważnym składnikiem „miejskiego menu”. To – parafrazując słowa żartobliwej piosenki Kuby Sienkiewicza - widać, słyszać i czuć. Zwłaszcza wówczas, kiedy w Darłótku Wschodnim funkcjonowała jeszcze Fabryka Mączki Rybnej, a na nabrzeżu portowym oraz przed rybackimi chatami suszyły się po połowach sieci. Czuć i widać to także dzisiaj na pirsie, przy którym ustawione są „budki” handlujących rybami. Gdzie to m.in. dorsze, flądry i łososie eksponowane są klientom w całej swojej okazałości, w otoczeniu cumujących nieopodal niewielkich, przybrzeżnych motorowych łodzi rybackich oraz całymi dniami patroszących ryby ludzi na pokładzie małych kuterków i zazwyczaj skrzeczących przeraźliwie nachalnych mew, czekających w swoim lenistwie na ulubione przez nie rybne odpady.

Kategoria „smak” jest wprawdzie bardzo rozciągliwa i pojemna to jednak warto się nad tymi kwestiami pochylić, wszak idzie o moje rodzinne, jakże specyficzne miasto. Jakiś czas temu dotarło do mnie, że bardzo świeża ryba morska w większości swoich gatunków - tuż po II-giej wojnie światowej - dla zdecydowanie wielu polskich pionierów na Ziemi Darłowskiej była wręcz nieznanym szerzej rarytasem. Z naszej obecnej perspektywy trudno jest w pierwszej chwili pojąć to, że ktoś mógł wcześniej nie poznać „osobiście” naszego „brzydulka” (głowacz kur) zwanego diabłem morskim, czy nie spróbować nawet popularnego łososia (nie licząc tego wędzonego), miruny czy bardzo rozpowszechnionego tuż po wojnie, a nawet jeszcze w początkowych latach osiemdziesiątych ub. wieku w Bałtyku dorsza. Tak się

bowiem złożyło, że nie było wówczas jeszcze, dzisiaj tak rozpowszechnionych oraz udoskonalonych technicznie samochodów – chłodni, aktualnie rozwożących na dalekich trasach świeżą rybę. Także z tego to powodu ówcześni mieszkańcy np. Podkarpacia czy polskich Kresów Wschodnich (nie tylko tych południowych) gustowali z konieczności w rybach słodkowodnych z pobliskich im rzek oraz jezior. Jedyne pewnie morski śledź, dzięki znanej od wieków umiejętności jego konserwacji solą w beczkach, a następnie jego przeobrażania w potrawę (oczywiście, już solny śledź z beczki [tzw. zielony śledź] sam w sobie stanowił niejednokrotnie gotową potrawę) był dla wielu późniejszych Darłowian powszechnie dostępny w postaci piklingów, rolmopsów czy np. w zaprawie octowej. O braku ryb morskich w wielu jadłospisach domowych z dala od morza decydowały także inne względy, często ekonomiczne. Dlatego zrozumiałym jest ogromne zdziwienie ówczesnych młodych Pionierów Ziemi Darłowskiej, kiedy słyszeli zawołanie reklamowe; ...”Jedzcie dorsze g... gorsze!”

W tym miejscu drugie skojarzenie z tematem wydało mi się nawet zabawne. Oto wiele lat temu, jakiś mój daleki krewny o imieniu Nikodem z Podlasia, we wczesnych latach pięćdziesiątych gościł w naszym Darłowie. Pewnie był nad morzem po raz pierwszy, bo udał się nad Bałtyk, na tutejszą plażę wyposażony m.in. w pustą butelkę po oranżadzie oraz papierową torebkę (zapewne) po cukrze. Zaczerpnął więc wody morskiej do swojego szklanego pojemnika z metalowo–porcelitowym zamknięciem z dodatkiem gumowej uszczelki powstrzymującej zazwyczaj „uciekający gaz” z owej oranżady oraz nasypał do torebki dwie duże garści piasku z plaży. W mojej pamięci utkwiło ogromne rozgoryczenie owego wujka Nikodema, kiedy organoleptycznie odkrył, że woda morska wcale nie jest tak słona jak wcześniej się spodziewał, a raczej jest jakoś gorzkawa i mdła w smaku. Z perspektywy lat oznacza to tylko tyle, że Darłowo już wówczas miało jakiś swoisty, nieznanym innym smak, a podejmowanie tego zagadnienia w dyskusji po latach ma nadal głęboki sens.

Nasze miasto, szczególnie tuż po wspomnianej wojnie, było bez wątpienia zbiorowiskiem ludzi przybyłych z różnych stron Polski oraz świata. Ale o tym już także wielokrotnie mówiłem i pisałem. Rzecz bowiem w tym, że taki stan powodował wymuszoną społeczną wielokulturowość, a tym samym bezwzględną potrzebę integracji szeroko pojmowanego tutejszego środowiska, w celu stworzenia nowej „nacji miejskiej”.

Każdy z przybyszów, nowych Darłowian, przywiózł (lub przyniósł, wszak niektórzy spośród nich do naszego miasta przyszli ze np. Sławna piechota) z sobą m.in. przepisy na potrawy ze „swoich” stron rodzinnych, stosowane (a nawet kultywowane) np. na wspomnianych Polskich Kresach Wschodnich, w Centralnej Polsce, na Podkarpaciu, na Śląsku czy daleko poza granicami kraju. Przy czym, to też nie jest szczególnie precyzyjne określenie gdyż kuchnia

wileńska - w wielu charakterystycznych przepisach i zestawieniach przypraw - bardzo różni się od kuchni np. lwowskiej (choć obie wywodzą się przecież z owych Kresów). Powodowane jest to zapożyczeniami z kuchni ukraińskiej, białoruskiej oraz litewskiej. Kuchnia mazowiecka, kurpiowska czy warmińska z podobnych powodów (mówię o zapożyczeniach – przyp.) zdecydowanie różni się od kuchni wielkopolskiej, z kolei kuchnia wielkopolska ma wiele wspólnego z kuchnią śląską raz kaszubską. Tym razem „naleciałości” pochodzą najczęściej z Niemiec itd.

Były jednak także wspólne cechy i wyróżniki owych potraw. Na przykład w moim domu rodzinnym daniem popisowym mojej babci (rodowitej Litwinki) były bliny podawane przez nią wraz z gęstym sosem w niewielkich miseczkach, z przepysznyimi skwarkami z boczku oraz kiełbasy w wytopionym z nich tłuszczu, doprawionym na słono. Były także oczywiście najprawdziwsze kartacze wileńskie, kaziukowe obwarzanki, wspaniałe żółty słony smalec z gęsi oraz wiele innych kresowych smakołyków. Jak chociażby wędzone udka z gęsi. Jeszcze dzisiaj ślinka mi cieknie na wspomnienie kuchni mojej babci Marysi.

Dla odmiany babcia Olesia (tak wszyscy nazywali babcię Aleksandrę) preferowała nieco inną - rodem z warmińskich i podlaskich stron - kuchnię regionalną. Niestety byłem wówczas zbyt mały by jej potrawy precyzyjnie zapamiętać. Kojarzę tylko, że bardzo mi smakowało. Na szczęście mój ojciec niektóre te smaki nieco później przypominał mi w swoich „dziełach” kulinarnych, wszak podobnie jak ja lubił, a nawet potrafił gotować (przynajmniej niektóre potrawy). Z perspektywy lat to właśnie były moje klimaty z dzieciństwa, smaki młodości mojego rodzinnego Darłowa.

A zatem w Darłowie i w okolicach (naturalnym rezerwuarze dawnych i obecnych mieszkańców naszego miasta) nie mogło być we wszystkich domach jednego „jadłospisu” oraz jednego określonego smaku. Co więcej; Owa – wspomniana wcześniej – wielokulturowość społeczeństwa Darłowa skutkowałą (jeszcze długo po zasiedleniu miasta) swego rodzaju zahamowaniami w procesie unifikacji darłowskiej „kuchni regionalnej”. Innymi słowy; w pierwszym powojennym okresie polskiego Darłowa wiele wspomnianych „smaków z dzieciństwa” oraz „przepisów naszych przodków” dostępne było najczęściej w bardzo wąskich enklawach, a precyzyjniej - jedynie w poszczególnych domach i w czasie spotkań „ze swoimi” (rodzina oraz zaufani przyjaciele z tych samych stron) w wąskim gronie towarzyskim. Choć ucziwie trzeba przyznać, że po bardzo krótkim czasie, potrawy oraz przepisy „naszych babć” (już po 1946 roku) nieśmiało przenikały, a nawet opanowywały także kuchnie darłowskich sąsiadów „z innych stron”.

W tym miejscu pojawia się kwestia integracji poza rodzinnymi siedliskami i mieszkaniami. Oczywiście nie umniejszam roli i skali spotkań towarzyskich z sąsiadami na gruncie wyjątkowo prywatnym (np. w przywołanych mieszkaniach), szczególnie tych integrujących owo wielokulturowe środowisko Darłowa, a jedynie chcę łagodnie przejść do tematu tutejszych lokali gastronomicznych, w tym urokliwych kafejek i cukierni. Tam bowiem najszybciej unifikowały się smaki (i nie tylko smaki) naszego miasta, tworząc niejako zupełnie nowy byt. Unifikował się także język nowych wówczas Darłowian. To było bardzo ważnym czynnikiem w tym procesie i swoistym smakiem miasta. Z czego to wcześniej wynikało?

W pierwszej kolejności z tego, że do naszego miasta przybywali – o czym na wstępie wspomniałem - ludzie z różnych świata, ale także z diametralnie różnych środowisk „towarzyskich”. Jedni wywodzili się z rodzin ziemiańskich oraz tzw. inteligenckich, a inni ciągnęli do Darłowa za pracą i mieszkaniem w opuszczonych przez uciekających Niemców domach. Wszyscy przybywali z jakimś bagażem własnych przeżyć i doświadczeń, bagażem biedy życiowej lub dawnego, utraconego na skutek wymuszonej imigracji bogactwa i pozycji społecznej. Do Darłowa przybywali także z dyplomami polskich (i nie tylko) przedwojennych wyższych uczelni oraz gimnazjów przygotowujących absolwentów na bardzo wysokim poziomie do pracy w urzędach oraz (jak byśmy to dzisiaj powiedzieli) w biznesie. Do naszego miasta przybywali także w dużej części ludzie, wprawdzie bez dyplomów i matur ale z przebogatym doświadczeniem życiowym. To właśnie tworzyło tę szczególną i niepowtarzalną społeczność, która z konieczności musiała się dopiero zasymilować z powodu braku na tych terenach dominującej przez wieki rdzennej grupy etnicznej (takiej na wzór sąsiednich, otaczających nasze obecnie tereny Kaszubów, Kujawiaków czy Wielkopolan [oczywiście z uwzględnieniem ich wiekowych przeobrażeń wewnętrznych pod naciskiem m.in. zaborców])

Wspomniałem kiedyś (w książce „Darłowo, a dalej jest już morze”) o problemach uczniowskich w darłowskiej szkole podstawowej jednej z pionierek darłowskich o imieniu Joanna, która używała w mowie tylny językowy „Ł”, za co była ostro strofowana przez pewną nauczycielkę. A przecież to była pochodna nauki wymowy polskiej w jej znamienitym domu rodzinnym na Wileńszczyźnie. To zdaje się potwierdzać konieczność realizacji procesu integracji i asymilacji do nowej, z wielu względów szczególnej, a przez to ciekawej społeczności.

Niezaprzeczalnie, na swój sposób indywidualnym smakiem naszego Darłowa, była także właśnie różnica w brzmieniu wielu, tych samych znaczeniowo słów oraz charakterystycznych „zaśpiewów” lwowskich, wileńskich, śląskich czy wielkopolskich. Owe gwary oraz cechy charakterystyczne wymowy wyróżniały nasze miasto gdyż integracja opierała się

w pierwszej fazie na kompilacji cech indywidualnych Darłowian i tworzeniu wspólnego kodu porozumiewania się pomiędzy sobą sąsiadów. Nikogo kiedyś nie raziło, że np. słowo „tak” brzmiało jako „jo”, „ja” czy np. mało literackie „no”. Wszyscy rozumieli, że „towarzystwo” to jest przecież to samo co „ferajna” (po warszawsku) i to samo co „wiara” (po poznańsku). Chłopiec nie obrażał się kiedy ktoś mówił nieco pejoratywnie o nim np. „szczon”, bajtel” lub „kinder” (to ostatnie w języku rodowitych Wielkopolan nadal jest powszechne), a dziewczynka niekiedy nazywana była np. „dziunia” (to z kolei Lwów i język baciarów). Taki był po prostu tutejszy, nawet urokliwy język pierwszych powojennych mieszkańców naszego miasta. Permanentnie ulegał on ewaluacji w kierunku bardziej jednolitego, a wręcz czysto literackiego (przy uwzględnieniu współczesnych standardów). Proponuję zatem by spojrzeć na nasze Darłowo – w okresie 75 lat temu i później - może właśnie nie tyle przez pryzmat wspaniałych, wręcz przepięknych darłowskich zabytków i artefaktów ale właśnie poprzez ludzkie zachowania, postawy wobec nowej rzeczywistości oraz przez pryzmat tworzenia przez nich nowej rzeczywistości społecznej.

Owi pierwsi powojenni Darłowianie, spragnieni bliższych kontaktów z nowymi sąsiadami lub/oraz ze starymi „ziomalami” (bo przecież pojawili się tutaj niekiedy całymi grupami z jednej miejscowości, pośród których prym zdał się wówczas wieś Radziejów) bez strachu oraz obaw spotykali się w naprędce wręcz otwieranych lokalach gastronomicznych, zwanych popularnie i adekwatnie do jakości oraz specyficznej atmosfery knajpami. Popularnością w pierwszym okresie cieszyła się, nieistniejąca już dzisiaj „Warszawianka” przy ulicy Powstańców Warszawskich (tuż za kamienicą Hemptenmacherów), a zaraz po niej knajpa „U Żyda” (przy Placu Kościuszki). Przy czym owa Warszawianka uchodziła za lokal niejako bardziej elitarny, dla towarzystwa nieco bardziej wysublimowanego. Tam najczęściej spotykali się „notable” z magistratu, z gminy i goście niejako „z wyższej półki” (nikomu jednak wstępu tam nie ograniczano).

Szczególne miejsce w życiu nowych Darłowiaków oraz niejako ugruntowaną legendę w polskiej literaturze miał (nieistniejący już) lokal w sąsiedztwie Zamku Książąt Pomorskich, a może bardziej w sąsiedztwie spalonego 14 czerwca 1964 roku młyna, od które oddzielała ten lokal tylko praktycznie tylko zamkowa fosa. Dokładnie, to mieścił się on w miejscu, gdzie obecnie stoi względnie nowy blok mieszkalny przed mostkiem, idąc od strony miasta. Jego szczególność zawierała się w tym, że tam właśnie Leopold Tyrmand umieścił część akcji swojej „darłowskiej” książki „Siedem dalekich rejsów”. Tam również bywali szczególnie mieszkańcy naszego miasta, tam toczone były uczone dysputy i podejmowano pewnie bardzo ważne ustalenia. Takie na miarę czasu i okoliczności. Lokal miał niewątpliwie szczególny

klimat i był pewnie (bo tego osobiście - z racji swojego wówczas jeszcze młodego wieku - nie doświadczyłem) niekwestionowanym smaczkim powojennego Darłowa.

Dla zachowania równowagi, w lokalu spełniającym więcej warunków dla określenia podrzędna knajpa, zwaną „U Żyda” (w miejscu późniejszej „Bałtyckiej”, a obecnie „Neonet”), bywali doprawdy wszyscy. Tam przy wódeczce, określanej potocznie „CCK” (od czysta, czerwona, kapslowana, przechowywanej zazwyczaj w litrowych butelkach, w pierwszym okresie z prawdziwym korkiem) załatwiane były dosłownie wszystkie ważne, a już na pewno także mniej ważne, prywatne (czytaj; towarzyskie) i służbowe sprawy. Tam można było „załatwić” mieszkanie oraz opić jakąś udaną, nawet na pozór małoistotną transakcję handlową. Tam zasięgało się opinii zaprzyjaźnionego „psychologa”, którym okazywał się najczęściej dobry kumpel od kieliszka.

Nie jeden z młodych absztyfikantów, kiedy poszukiwał żony lub na początek dziewczyny, takie sprawy załatwiał m.in. w okolicach późniejszej bazy PKS w lokalu (czy może raczej świetlicy?) o zwyczajowej wówczas nazwie „Bałtyk”.

W urokliwie położonym lokalu u zbiegu ulic Okrężnej i Obrońców Stalingradu odbywały się niezapomniane potańcówki, gdzie rozwijało się i rozkwitało życie towarzyskie przez nieco większe „T”. Nie pamiętam tego oczywiście, ale starsi ode mnie opowiadali i długo jeszcze po tym jak lokal zlikwidowano o tym miejscu krążyły legendy oraz zawieszona w powietrzu miłe wspomnienia. Ale mniejsza o szczegóły. Faktem jest, że w tej świetlicy - w obecnej bazie DPP - odbywały się także mecze bokserskie, gdy Darłowo jeszcze także boksem stało.

Ponieważ nasze Darłowo otoczone od zawsze było wioskami, a przy moście na Wieprzy (przy Powst. Warszawskich, w miejscu nieistniejącej Bramy Wieprzańskiej) mieściły się biura Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska (wraz z kasami), naturalną rzeczą było otwarcie knajpy, popularnie w mieście zwanej „Ludową”. Pewnie od szczególnej jej klienteli, która sprzedawszy swoje „wyroby” na targowisku lub na tzw. „spędzie”, finalizowała udane transakcje w „swoim” lokalu popularną wódką i zakąską złożoną ze śledzika lub/i galarety. By zrobić tzw. „podkład” klienci konsumowali tłustą golonkę lub bardzo popularną już wówczas zupę z flaków wołowych albo wieprzowych. Był to jednak tylko dodatek do najważniejszej części programu, do procesu integracji pracującej społeczności miasta i wsi na gruncie biznesowo – towarzyskim.

Już w tym momencie wyłoniły się pierwsze symptomy klimatu miasta, segmentacji rynku gastronomicznego oraz smaków Darłowa. Jedną z pierwszych w mieście była – wspomnę raz jeszcze miło - restauracja „Warszawianka” przy Powstańców Warszawskich”, w okolicach dawnego domu najśłynniejszego do tej pory darłowskiego armatora -

Hempenmachera. Wprawdzie niedokładnie w tym samym miejscu ale dzisiaj jest tam urokliwa „Caffe Łódź”.

Paradoksalnie, wcale nie (lub nie tylko) o smakach darłowskich restauracji i knajpek chciałem mówić, a o permanentnej i nieco wymuszanej, chociaż zazwyczaj łagodnie zatracanej tam tzw. „różnic klasowych” (że tak przywołam brzydki termin z przeszłości). Niekwestionowanym smakiem Darłowa były zauważalne różnice (tak ogólnie rzecz ujmując) w zachowaniu, w języku oraz w pojmowaniu wówczas rzeczywistości przez Darłowian.

Do naszego miasta – powtórzę raz jeszcze, bo to bardzo istotne - przybywali zarówno ludzie światli, z tzw. dobrym pochodzeniem, ale także ludzie raczej mało wykształceni i niejednokrotnie życiowo bardzo pogubieni. Wartością samą w sobie była unifikacja społeczna, oparta na wzajemnej pomocy w procesie wyrównywania szans poprzez „świadczenie usług wzajemnych”. Proboszcz, wikary, właściciel sklepu czy burmistrz uczyli potrzebujących nauki tego czego sami potrafili wcześniej (przed wojną) nauczyć się w szkołach, na uniwersytetach i w życiu. Ich „studenci” odwdzięczali się im innymi usługami, w których byli po prostu lepsi i bardziej doświadczeni. To był wspaniały proces tworzenia się nowej, lokalnej społeczności. Proces szczególny i indywidualny wszak realizowany przez poszczególne jednostki w różnym zakresie. Tylko w ogólnych zarysach był on podobny do tego np. w Sławnie, Słupsku czy Trzebiatowie. Tego szczególnego smaku Darłowa nie da się jednak odnaleźć lub odtworzyć w żadnym innym miejscu świata. Ten smak już był i życie potoczyło się dalej.

Wróćmy zatem do lokali i kafejek, bo to było przecież także ważne. W 1953 roku (powołana do życia 1947 roku) PSS „Kotwica”) dysponowała restauracjami „Kotwica” (a jakże mogło być inaczej?), „Paloma” (tam gdzie dzisiaj jest apteka Centralna) na 130 miejsc (III kategorii, a po remoncie 1967 nadano jej II kategorię). W latach 1967 i 1969 zajęła ona nawet pierwsze miejsce w ogólnopolskim konkursie „Srebrna Patelnia”. To dawało jej by uchodzić za lokal tzw. elitarny.

Sławetną już wówczas była PSS-owska restauracja „Bałtycka” (bardziej i dłużej jeszcze rozpoznawalna w mieście jako ta „U Żyda”), a także popularna restauracja „Akwarium” oraz ciastkarnia Mewa (funkcjonująca w mieście obok prywatnej od 1955 roku kafejki i ciastkarni „Liliputek” p. Stanisława Makarskiego).

Niektóre lokale przetrwały do dzisiaj chociaż zmieniały się ich nazwy oraz charakter. Restauracja „Ludowa” była później „Darłowianką”, „Coloseum” oraz „Karczmą Rzymską”. „Zacisze” przemianowano m.in. na „Maję”, a później na „Bagatelę”. Wybudowana w latach siedemdziesiątych (a precyzyjnie przeniesiona z małego lokaliku naprzeciwko poczty)

„Muszelka” (p. Lemiesz - Zielińskiej) dzisiaj jest siedzibą gabinetu stomatologicznego p. Karskiego. Przetrwał za to dzielnie wspomniany „Liliputek” p. Makarskich (choć i jego aranżacja zmieniała się wielokrotnie, a ta najnowsza trąci nowoczesnymi rozwiązaniami) i nadal jest ważną dla Darłowian oraz turystów cukiernią. Obok niej pojawił się (bodaj w latach siedemdziesiątych) lokal będący wówczas pierwszym w mieście barem tzw. szybkiej obsługi p. Andrzeja Dobrzańskiego. On także funkcjonuje do dzisiaj jako bar i pizzeria.

Nie istnieje natomiast dawny lokal w bazie PKS. Przeszedł niejako w niepamięć lokal w dawnym DOK, a niejako zastąpił go „Gościniec Zamkowy”. Zniknął, niegdyś także popularny (zwłaszcza wśród młodzieży) lokal p. Stasi Wielochy „Standaria” (późniejsza „Stajenka Pegaza”) w tym samym dawnym budynku Darłowskiego Ośrodka Kultury. I tak można by jeszcze długo wymieniać.

Przechodząc jednak do Darłówka. Tam życie towarzyskie w lokalach i poza nimi kwitło naprawdę okazale. Proszę sobie wyobrazić, że restauracja „Alga” (funkcjonująca od lipca 1966 roku, z dostępnymi 140 miejscami do konsumpcji) zbudowana została w iście socjalistycznym stylu i tempie. Fundamenty pracownicy PSS wylali w czynie społecznym, a montaż ścian i dachu trwał zaledwie 28 dni. I pomyśleć, że obiekt przetrwał dziesięciolecia, aż do słynnego pożaru w pierwszych godzinach września 2012 roku. Do końca odbywały się tam „działania gastronomiczne” oraz dyskotekowo-dancingowe. Oczywiście była to w okresie kilku ostatnich lat wyjątkowa atrakcja dla wczasowiczów i zarazem utrapienie dla właścicieli OSW „Dianola” (dawnej Wydma u zbiegu ulic Plażowej oraz Władysława IV). Jeszcze większą atrakcją w okresie kilku dziesięcioleci w Darłówku był lokal i schronisko PTTK „Bryza” (popularnie zwany „Patykiem”). Jakież tam, w sąsiedztwie portowego kanału, odbywały się imprezy i spotkania. Jakież odbywały się bale sylwestrowe i zabawy karnawałowe? Ileż tam ważnych spraw (różnego kalibru) pomyślnie załatwiono. W latach siedemdziesiątych w Darłówku wybudowano dwupoziomą „Abrację” przy głównym deptaku, ale o niej za chwilę.

W latach siedemdziesiątych XX wieku pojawiły się także takie lokale jak np. „Wiking”, będący w jakimś sensie (z racji swojej lokacji) niejako gastronomicznym oraz towarzyskim zapleczem FMR „Famarol” oraz SUR w Darłowie przy ul. Wojska Polskiego oraz „Ciżemka” będąca wprawdzie świetlicą zakładową darłowskiego oddziału ślupskiej „Alki” produkującej buty oraz cholewki, to jednak spełniającej podobną funkcję „społeczną” jak wspomniany „Wiking”, z wyłączeniem funkcji stołówkowej. Dla odmiany lokal osiedlowy „Kajuta” przy ul. Moniuszki oraz bar „Edyta” przy ul. Wieniawskiego to już praktycznie

nowa historia, ale po mieście o nich legendy krążą i dlatego warto w kontekście smaków Darłowa o tych przybytkach także wspomnieć.

Szczególne grono Darłowiaków, ludzie morza i jego zaplecza, zdecydowanie częściej na swoje biesiady wybierali położony w pobliżu Kapitanatu Portu restaurację „Koral”, a także lokal świetlicowo-gastronomiczny w „Domu Rybaka”. Był on przeznaczony i tylko dla nich (rybaków i pracowników „Kutra” – przyp.) dostępny bo też i serwowano tam asortyment nieco bardziej wyrafinowany. Napić się - kiedyś niedostępnego prawie, w co dzisiaj doprawdy trudno uwierzyć – piwa żywiec lub okocim to było coś, co było zarezerwowane tylko dla wybrańców i ich gości. Jeszcze w latach osiemdziesiątych wejście do prawie „baltonowskiego” lokalu było swoistym wyróżnieniem. Dla porządku warto także wspomnieć o lokalu zwanym „Perełka”. Był to mały lokalik ulokowany w pobliżu naszego urokliwego mostu zwodzonego w Darłówniku. Tam także zapadały bardzo ważne decyzje oraz rodziły się śmiało (a niekiedy nawet przestępcze!) pomysły – jak chociażby ten o podjęciu ucieczki do „lepszego świata”, przy wykorzystaniu porwanego darłowskiego kutra, z szyprem Władysławem Parackim na pokładzie. Lokale były powszechnie jednak dostępne, a niektóre spośród nich uchodziły za (na swój sposób) ekskluzywne. Mniej więcej tak dzisiaj traktowana jest w Darłowie całoroczna restauracja „Lido”, w budowanym przez „Belgów” kompleksie Marina Royal, nad samym brzegiem morza, z przepięknym widokiem na wzburzony jesienią Bałtyk lub wpływające do naszego portu kutry i statki handlowe, wiozące tzw. drobnicę i kruszywa.

Szczególnym miejscem na kulturalnej mapie Darłowa i Darłówniku był bez wątpienia tak bliski mojemu sercu, najpierw Klub Oficerski (łącznie z Kasynem Wojskowym), a następnie przemianowany na Klub Garnizonowy, ulokowany obecnie (i przez wiele poprzednich lat) w kompleksie koszarowym tutejszego garnizonu. Tam organizowane były niezapomniane Sylwestry dla kadry zawodowej Marynarki Wojennej oraz wyróżnionych gości. Kiedy kierowałem tym klubem, jeszcze w latach osiemdziesiątych ub. wieku, doświadczyłem tej atmosfery i „presji społecznej” kiedy przydzielałem miejsca przy sylwestrowych stolikach. A te eleganckie (przynajmniej na początku imprezy) dancingi w Klubie, wydarzenia okolicznościowe itp.

Aż miło jest, z rozrzewnieniem powspominać sobie po wielu latach!

W latach siedemdziesiątych w Darłówniku, przy deptaku na Władysława IV pojawiła się, z wielu względów zjawiskowa (choć na tamte czasy nowoczesna), wspomniana restauracja „Abrazja” (panów Celestyna Czarneckiego oraz Stanisław Wrońskiego). W okresie kilka ładnych lat był to lokal nawet na swój sposób ekskluzywny, ale po pewnym czasie przebudowano go na ośrodek wczasowy, a następnie (relatywnie niedawno) powstał w tym

miejscu kilkunastokondygnacyjny hotel „Amber Port”, zmieniając (niekoniecznie na korzyść!) definitywnie urokliwą architekturę dawnego rybackiego Darłówka. Nie ma już więc miejsca gdzie „tubylcy” i wczasowicze wybierali się m.in. na niezapomniane dancingi na pierwszym piętrze tego lokalu. Przez pewien czas (względnie krótko) swoistym „smaczkiem” w Darłównie był także tzw. bufet Kasyna Wojskowego w dawnym budynku wypoczynkowym, a później Wojskowego Przedszkola przy ulicy Zwycięstwa, by wreszcie stać się budynkiem wielorodzinnym dla pracowników wojska. Jest to jednak osobna historia.

Dlaczego o tym mówię? Ano dlatego, że to właśnie najlepiej oddawało specyfikę Darłowa, istotę procesu budowania relacji społecznych i niewątpliwie było wyróżnikiem miasta. Takim właśnie „smakiem” Darłowa.

Warto bowiem raz jeszcze, ze szczególnym naciskiem podkreślić, iż powojenni (i późniejsi) Darłowianie bardzo chętnie wykorzystywali lokale gastronomiczne, kafejki i darłowskie cukiernie w procesie integracji społecznej, budowania kultury regionalnej (a przynajmniej miejskiej) oraz unifikacji lokalnego społeczeństwa. Do legend należały kobiece biesiady w kawiarniach, kiedy to ich mężowie przebywali w pracy na morzu lub w dalekomorskich rejsach. Innymi klientkami lokali na „nadmorskim, babskim combrze” bywały niekiedy niepracujące żony przedstawicieli kadry zawodowej, które (obok oficerskich i podoficerskich mundurów marynarskich ich mężów) także stanowiły swoisty koloryt miasta, by nie powiedzieć jego „przyprawę smakową”. Oczywiście żadną miarą nie jest to artykułowany zarzut pod adresem pań, które w czasie nieobecności w domu pracujących mężów spotykały się „na kawę” w kafejce. Pragnąłem bardziej zauważyć inny spośród smaków Darłowa. Otóż poletkiem do integracji i realizacji procesu tworzenia nowego społeczeństwa, były w naszym mieście liczne zakłady oraz firmy, w których toczyło się także (niejako równolegle) bardzo ciekawe życie towarzyskie, nawiązywały się przyjaźnie oraz ujednotaczał się image Darłowa.

Z powyższego (i niejako w związku!) wyłania się obraz darłowskich lokali gastronomicznych, jako w pewien sposób „resortowych”. Oto „Wiking” – o czym wspominałem - był lokalem „przynależnym” niejako do Famarolu. Z kolei „Koral”, oraz „Bryza” okupowane były przez pracowników PPiUR Kuter oraz (w mniejszym stopniu) przez rybaków ze SPRM Ławica itd. Oczywiście należy także przywołać lokal w Domu Rybaka, jednak jego specyfika, morskość oraz „przynależność” była oczywista.

W tym miejscu wyłania się jednak także zdecydowanie „gorzki smak Darłowa”. Ponieważ nasze miasto leżało i leży nadal w strefie nadgranicznej to oczywistą była tam (dzięki tej swoistej segmentacji i kategoryzacji klientów lokali) nie tylko integracja „wewnątrz-zakładowa” ale także ułatwiona inwigilacja poszczególnych środowisk oraz

przygraniczne działania kontrwywiadowcze, a nawet wywiadowcze właściwych służb. To taka specyfika tego obszaru, a jednocześnie bardzo interesujący temat do dyskusji nad ludzkimi zachowaniami i postawami mieszkańców Darłowa. Warto jednak dodać, że w tych środowiskach (paradoksalnie) ujawniło się także bardzo dużo pozytywnych cech, postaw oraz zdarzeń i pomysłowości, a nawet przebiegłości np. wśród rybaków, którzy wszyscy mieli swoje tzw. „teczki”, a pomimo tego np. WOP-owski „zwiad” czy wojskowi funkcjonariusze WSW nie do końca mieli pewność, czy aby rzeczywiście wystarczająco dużo i precyzyjnie wiedzą to co wiedzieć chcieli. Inna sprawa, że i w gronie przedstawicieli tych służb (bardzo często rozpoznawalnych w Darłowie z imienia, nazwiska oraz indywidualnych „zamiłowań”) przeważali po prostu przyzwoici, często lubiani ludzie. Bo to taka robota była, a ich działania (niekiedy pozorowane!) wpisane były w specyfikę społeczności naszego miasta.

Wracając jednak do raczej męskiej części klienteli darowskich knajp, restauracji oraz barów. Owi Darłowianie (i przybysze z miejscowości poddarłowskich) najczęściej oraz niejako z konieczności (wszak wybór serwowanych trunków był raczej ograniczony) swoje ważne i nie cierpiące zwłoki sprawy lub zwykłe potrzeby towarzyskie realizowali przy wspomnianej chwili wcześniej, słynnej wódeczce „CCK” (czysta czerwona kapslowana), żytnia z kłosem, z konikiem, żubrówka z trawą, litrowe butelki, ćwiartki, półlitrowki (nie było setek w butelkach ale też ich nikt nie szukał). Tyko towarzystwo bardzo wysublimowane sięgało sporadycznie po koniak, rum, whisky czy brandy. Na stołach królowały i były niezwykle popularne alkohole czyste i zwyczajne. Takie co to munduru i garnituru nie plamią (jak mawiali stali bywalcy knajp). Oczywiście - nim „weszła do powszechnego użytku” coca cola czy inne sprite i mirindy – popijano przede wszystkim w Darłowie barwioną oranżadę od Kiblera lub Fałka. Czas „Chopinów”, „Panów Tadeusów” oraz innych poetów skrywanych w półlitrowych butelkach nadszedł dużo później. Wręcz w czasach nam już bardzo współczesnych.

Na tych samych stołach restauracyjnych, alkoholom wszelakim towarzyszyła galareta ze świńskich nóżek, tłusta golonka (koniecznie z kością), sałatka warzywna, solony śledzik z cebulką, śledzik w occie, jajka na twardo (rzadziej po wiedeńsku, czyli sadzane – jak mawiał proboszcz z Królowego Mostu), nieśmiertelna parówka z bułką, i to nie jakaś „Berlinka” czy „Sokolik”, tylko taka „od Leszka” z GS w Darłówku lub z masarni PSS przy Rynkowej. A bułka to tylko z piekarni GS lub od innego darłowskiego piekarza typu Olejnik, Sendkiewicz, Cybulski czy później Giełżyn, Kędzia, Sawosz lub Góral. Nie wolno zapominać - bo było to co najmniej świętokradztwem - o schabowym z gotowaną kapustą i gniecionymi ziemniakami na talerzu (rzadziej z frytkami). Któżby wówczas sięgał albo chociaż pytał o

jakieś „ślimaki” (mule) czy ośmiornice zwane owocami morza. No chyba, że mówimy (w kontekście morza) o dorszu czy flądrze.

Po dobrym i obfitym posiłku oraz wypiciu małego „co nieco” zapalano (prawie!) obowiązkowo jakiegoś papierosa (dużo papierosów!) W salach konsumpcyjnych unosiła się zawsze kompilacja wydychanych dymów po „MdM-ach”, „Sportach” (często tych pakowanych w „10”), później „Klubowych” oraz następców Sportów – „Popularnych”. A w tutejszych kafejkach unosiły się wydychane „Płaskie”, „Mazury”, „Giewonty”, „Wawele”, oraz m.in. Damskie. No, chyba że siedział tam właśnie prof. Zbyszek Białożył i roztaczał wokół siebie woń (przyjemną, a przynajmniej ja ją jakoś lubiłem) ze swojej fajki nabitej „Amforą”.

To były rzeczywiście (nieco duszące dla młodocianych klientów w lokalach) prawdziwe smaki Darłowa, które trochę jeszcze pamiętam i podświadomie czuję je do dzisiaj. Warto jednak w tym miejscu wspomnieć, iż w owych kafejkach, a tym bardziej w lokalach gastronomicznych młodzież raczej nie bywała częstymi gośćmi. No, może poza Liliputkiem przy miejskim „deptaku”, a tak o nieprzyzwoicie dla nas wczesnej porze, krążące po naszym mieście tzw. „trójki nauczycielsko-rodzicielskie” wypraszały nas z tej m.in. kafejki do domów, gdzie czekało już tylko odrabianie zaległych lekcji i wczesne spanie, bo w czarno-białej (a tylko taka w latach mojej młodości była) na wszystkich dwóch programach telewizyjnych (to i tak był postęp w stosunku do tego jednego, emitowanego bodaj dopiero od piętnastej do dwudziestej drugiej, a potem był odgrywany z taśmy hymn narodowy) nie bardzo było - poza „Kobłą” w Teatrze Telewizyjnym – co oglądać i czym pogłębiać swoją wiedzę o świecie.

Integracja i życie towarzyskie dla dzieci toczyło się więc na podwórkach i urokliwych zaułkach miejskich. Jakież to był nasz zaczarowany świat, pełen tajemniczości i rozbudzonej wyobraźni. Te uliczki starego Darłowa, te podwórka ulicy Wałowej, Pocztovej czy Rzemieślniczej! Dla mnie szczególnym miejscem było także boisko Domu Dziecka, tereny w okolicach tzw. „kładki kutrowskiej” oraz łąki i rozlewiska ciągnące się od darłowskiego Wembley do Darłówka Wschodniego, a głębiej to prawie pod Górkę Cisowską. To były wówczas nasze, dziecięce smaki Darłowa, towarzyska Agora i miejsce tworzenia szczególnej społeczności młodych Darłowiaków. Dzisiaj odważę się postawić tezę, iż właśnie pod płotem Kowalkowskiej na ulicy (dosłownie!) czy też na zapleczu ulic Pocztovej i Powstańców Warszawskich (i wielu jeszcze miejscach „na tyłach miasta”) budowało się coś niezwykle ważnego w życiu towarzyskim Darłowa. Pamiętamy szczegóły a nasze przyjaźnie oraz znajomości przetrwały do dzisiaj, chociaż ta atmosfera jest już jakaś inna.

Mówiąc jednak o lokalach gastronomicznych (tylko dla pełnoletnich, czego rygorystycznie przestrzegano) oraz o cukierniach nie sposób pominąć jeszcze jednego aspektu - swoistego smaku Darłowa - jakim były nie tyle sklepy w mieście, ale przede wszystkim specyficzny „język miejski”. Nazywanie sklepów tuż po wojnie i jeszcze wiele lat później od nazwisk właściciela lub po prostu sprzedawców, stanowiło swoisty kod miejski, przypominający nieco smaki i atmosferę małych żydowskich miasteczek np. na Podlasiu lub dzielnic np. Krakowa czy Warszawy. To od klimatu takich małych miasteczek, w których ludzie tworzyli swoistą „diasporę” lokalną, w poczuciu wymuszonego w pierwszym okresie wzajemnego liczenia na wsparcie i zrozumienie nowych sąsiadów, współzależnienia wręcz, nim rzeczywiście wykrystalizowała się prawdziwa wspólnota miejska.

Zatem np. Karska, Wasilewska, Nowecka, Kowalska, Rosik, Kubiak, Rożkowska, Górecka, Wanatowski, Olejnik, Śpiewak, Gadomska itd. były składowymi-symbolami tego języka. Każdy z Darłowian wiedział jak poruszać się po mieście wg takich właśnie drogowskazów.

Dla porządku warto wymienić, iż wobec okresowego zamykania w Darłowie sklepów prywatnych, pierwszy sklep (istniejący od 1947 roku) - podległy już nowo powołanej PSS „Kotwica” - był ulokowany przy ul. Powstańców Warszawskich 59. Był to sklep kolonialno-spożywczy, kierowany przez p. Jadwigę Rojek. W miarę likwidacji w pierwszych latach powojennych kolejnych sklepów prywatnych, p. Kleiman od 1948 roku kierował drugim sklepem spółdzielczym ulokowanym na tej samej ulicy pod numerem „16” (ten sam Kleiman, który później prowadził drogerię przy ul. Obrońców Stalingradu, gdzie dzisiaj jest apteka „Arnika”). W Darłówie już w 1949 r. uruchomiono pierwszy sklep kolonialno-spożywczy pod adresem Kąpielowa 3. Trzecim sklepem PSS-owskim w samym Darłowie był „Monopolowy” przy Powstańców Warszawskich 3. Spółdzielnia uruchomiła także w 1950 restaurację „Kotwica”. Można by odnieść mylące wrażenie, iż to tylko przy ulicy Powstańców Warszawskich toczyło się życie handlowe Darłowa. Ale to nie była cała prawda.

Poza PSS w Darłowie swoją sieć sklepów miało sławieńskie MHD oraz darłowski GS. Ostały się także w niewielkiej ilości prywatne sklepy, czy może raczej sklepiki (Ulanowski, Śpiewak, Karska) oraz urokliwe kioski (np. Sopońska naprzeciwko kina Bajka czy Naporska za PKS, patrząc w kierunku miasta).

Jednak swoiste smaki Darłowa to także kultura młodzieżowa. Kto dzisiaj jeszcze pamięta tzw. darłowską „Żakinadę” z lat 60-tych, kiedy to na ulicach miasta pojawiała się poprzebierana ciekawie i pomysłowo młodzież by się po prostu bawić. Zapamiętałem taką oto scenkę; Na niesionej nad głową, płycie piłśniowej na drzewcu (dzisiaj nazywamy to banerem

reklamowym lub hasłem protestacyjnym) ktoś domagał się stałego ciśnienia wody w kranach, wymuszanego przez wieżę ciśnień (w okolicach późniejszej, pierwszej w Darłowie „tysiąclatki”). Napis brzmiał „My chcemy wody”. Jakiś kolega-dowcipniś przerobił słowo „wody” na „wódy” i zrobiła się afera polityczna. Uznano w pierwszej chwili, że mamy oto do czynienia wręcz z jakowąś prowokacją. Kiedy jednak wytłumaczono miejskiemu „Pierwszemu” z PZPR, że czego jak czego ale „wódy ci u nas dostatek” (wszak było to przecież dużo wcześniej niż wprowadzono u nas sławetną godzinę 13.00 oraz kartki na alkohol). Towarzysz Sekretarz uznał to za dobry, nie polityczny dowcip, a sprawa pozostała tylko w opowieściach dla potomnych.

Kolejnym, tym razem „gorzkim smakiem miasta”, by nie powiedzieć; dużą łyżką dziegiu w „beczce wizerunkowej” miasta, była przez pewien czas grupa darłowskiej młodzieży, która pewnie sama nazwała się „darłowskimi szczekami”. Ale o tych zapamiętanych w Darłowie wybrykach chuligańskich oraz młodocianych bandytach oraz ich dłuższych lub krótszych wyrokach wolałbym się nie rozpisywać. Wspomniałem o nich tylko dlatego, że o „smakach” naszego miasta jest mowa.

Mówiąc o kulturalnych smakach darłowskiej ulicy i „salonów” należy także wspomnieć o „wynalazkach” lat osiemdziesiątych, kiedy to darłowskimi placami, parkami oraz ulicami zawładnęli (przez kilka tygodni w okresie kilka kolejnych lat) twórcy nieprofesjonalni zrzeszeni w tzw. RSTK (Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury). Przybyli z całej Polski tworzyli na chwałę socjalistycznej ojczyzny „dzieła”, które (niektóre nawet dobre!) zdobyły najznamienitsze darłowskie galerie, lokale i muzea. Ze strony miasta gospodarzami tych imprez malarsko-rzeźbiarsko—muzycznych był tutejszy DOK (z Krzysztofem Pichą na czele) oraz Klub Garnizonowy (w pierwszej fazie z moją skromną osobą nim kierującą). Tercet ten (bo było nas wówczas trzech, rodem od Białozyta) od strony merytorycznej i artystycznej dopełniał Konstanty Kontowski, jako człowiek z muzeum. Rzeczą działa się w drugiej połowie lat 80-tych i nieco zahaczywszy o pierwszy okres transformacji ustrojowej, w której to „robotnicy kulturalni” już przestawali jakoś być „w cenie”. Ulice Darłowa nadal jednak były kolorowe za sprawą reklam, które „wyszły” spod ręki wspomnianego Zbyszka Białozyta, a później także m.in. Kostka Kontowskiego.

Nadal pozostawali na darłowskich scenach muzycy lokalni (też amatorzy) z teamu Jana Skórskiego, Stefana Jurczyka, Sztaby i Kowalika oraz w ich tle zespół „Wrzoso” (tylko nominalnie z Głęznowa). Ale i ten smaczek Darłowa już także jest tylko miłym wspomnieniem.

Podobnie jak wspomnieniem są już głośne dyskoteki w Domu Rybaka jeszcze w latach 90 ub. wieku i w pierwszej dekadzie XXI w. Wcześniej – szczególnie w latach sześćdziesiątych oraz siedemdziesiątych i następnych - bardzo popularne w mieście były dancingi w „Palomie”, w „Bryzie”, w „Abrazji” oraz w Klubie Garnizonowym. Tam Darłowianie naprawdę dobrze i kulturalnie się bawili oraz integrowali. W sezonie były jeszcze ubawy w „Aldze”. Bardzo ważną rolę w życiu kulturalnym miasta odgrywały także (od początku lat sześćdziesiątych) tzw. Non-Stopy, z przygrywającymi na żywo braćmi Jędrzejewskimi, Zbyszkim Świątkiem i wieloma innymi darłowskimi muzykami. Owe imprezy odbywały się w sali widowiskowej Domu Kultury, który to przybytek już także wielokrotnie uległ „przepoczwarzeniu”, aż stał się hotelem.

Później nastął czas dyskotek w lokalu „JUMP” (popularnie nazywanym „Pod trupem” bo lokal mieścił się przy cmentarzu, w magazynach nawozów GS) oraz „U Mitala” w pobliżu darłowskiego komisariatu policji. Ale to już nie była ta kultura i ten poziom zabawy. A może to ja się zestarzałem i nieprawidłowo to odczytuję? Tak czy inaczej młodzież (zwłaszcza w okresie wakacji) z darłowskich ulic jakoby znikła, a i tak ich zabawy są teraz jakby bardziej uciążliwe dla mieszkańców i turystów.

Darłowska kultura tworzyła się nie tylko w lokalach, ale także w prywatnych mieszkaniach. W jednym z takich domów przy ulicy Ogrodowej spotykało się towarzystwo gromadzące się wokół jedyne go wówczas darłowskiego pisarza Zbysława Góreckiego. Można by rzec, iż tam właśnie adepci wówczas tzw. inteligencji klekocząc jechali pod górę do kulturalnego Darłowa. Niektórzy z nich zaistnieli dużo później w przestrzeni publicznej miasta na eksponowanych etatach i stanowiskach, że wymienię burmistrza A. Klimowicza, dr Z. Milczarskiego czy dr hab. M. Żukowskiego. To miało swego czasu ścisły związek także z Koszalińskim Towarzystwem Społeczno Kulturalnym oraz z Towarzystwem Przyjaciół Ziemi Darłowskiej. Z tymi ludźmi kojarzone są także pierwsze wydawnictwa miejskie, a nawet opozycyjne. To jest jednak temat na osobną dyskusję.

Pewnym smakiem Darłowa były także inicjatywy towarzyskie jakimi była kapituła nagrody „Nagroda zwodzonego mostu” w formie wykuwanego w miedzi talerza (najpierw Zbyszek Białożyty, a następnie jego uczeń Kostek Kontowski) przyznawanej w ocenie kapituły najznamienitszym z pośród Darłowian lub przyjaciół Darłowa. Na szczególne wspomnienie (z racji bycia smakiem Darłowa) zasługuje „Klub Samurajów” (m.in. p. Mieczysław Moraczewski, Jurek „hrabia” Łopuski, koszaliński pisarz i poeta Czesław Kuriata i kilku innych). To było doborowe i elitarne towarzystwo, a członkowie z wielu względów wybitni. W tym gronie całkowicie zasłużenie znalazł się Konstanty Kontowski, który smaki Darłowa

oraz jego urokliwe i niezaprzeczalne piękno, od niepamiętnych dla wielu czasów (jakieś pół wieku), utrwała na płótnie, papierze oraz w fachowej literaturze. Kostek jest sam w sobie swoistym smakiem miejskim.

Dlaczego o takich na pozór zwyczajnych inicjatywach towarzyskich wspominam? Ano dlatego, że lata powojenne, a później sześćdziesiąte oraz siedemdziesiąte, miały jeszcze jeden w Darłowie szczególny wyróżnik. Otóż doprawdy poziom wykształcenia wielu mieszkańców w takim małym, nadmorskim miasteczku zauważalnie odbiegał od tego akademickiego w dużych ośrodkach. Zatem wykształcenie wyższe (wówczas znano tylko – poza tytułami naukowymi - magisterskie oraz inżynierskie), a nawet tzw. matura były czymś nie koniecznie powszechnym. Dlatego ludzie legitymujący się takim poziomem wiedzy, potwierdzonym dyplomem, stanowili wówczas swoistą elitę towarzyską, pragnącą zaznaczyć swoją pozycję społeczną oraz realizować swoją rzeczywistość, a innym razem domniemaną misję w środowisku i to był bez wątpienia (może niezbyt szczególny i wyodrębniony, ale jednak) smak Darłowa.

Doprawdy trudno jest przywołać „jednym tchem” wszystko to co stanowi o specyfice oraz „smakach” naszego miasta. Jedno jest pewne. Darłowo smakuje szczególnie, a już na pewno indywidualnie. Jak bowiem można by pominąć w procesie smakowania miasta np. kierowane swego czasu przez p. Alferda Drozdowskiego kino, w którym wiele się działo. Przy czym wcale nie mam na myśli tylko filmów. Swoistym smakiem byli dawni fryzjerzy (Strzechowski, Laskowski, Sas itd.), gdzie wymieniano pomiędzy sobą newsy, opinie oraz informacje „z magła”. A ten teatr Pana Janiczaka, a te mecze piłkarskie sędziowane przez autentyczną legendę „czarnych” Romana Berkana. Wreszcie te odbywające się w Darłowie dożynki, studniówki i wiele innych wątków i wydarzeń.

Nadal jednak będę upierał się przy postawionej przeze mnie wcześniej i wielokrotnie przypomnianej tezie, iż smakiem Darłowa byli przede wszystkim ludzie. Władze partyjne (a PZPR-owskie były ważniejsze, albo co najmniej równoznaczne z rządowymi) patrzyły podejrzliwie na nowobudowaną polską społeczność Darłowa, czego wyraz dawały pomijając Darłowiaków na najważniejsze funkcje partyjne w mieście oraz w regionie. To także było smaczkiem naszego miasta. Także ten wątek jest jednak odrębnym zagadnieniem, zapewne godnym pogłębionych analiz socjologicznych.

A więc smacznego Darłowiaku i przybyszu, bo pewnie nigdzie tak smacznie nie jest jak w naszym nadmorskim Darłowie. Jestem o tym przekonany.